

Z cyklu "Prosto spod pióra" przedstawiamy dziś naszym słuchaczom fragment współczesnej powieści Edmunda Puzdrowskiego pt: "Białe są słowa miłości". Główną osobą fragmentu jest stary Fełas, charakterystyczny relikw znikającego świata obyczajowości i obrzędów regionu Kartuz. Fełas pokazany jest w relacji głównego bohatera powieści, człowieka, odwiedzającego po latach swoje strony rodzinne. Konflikt psychologiczny bohatera polega na obowiązku powrotu do miasta - i pragnieniu pozostania "u siebie", gdzie jego osobowość znajduje najpełniejsze szanse realizacji. Ale to wszystko jest w powieści. Fragment, który państwo usłyszycie, maluje tylko barwną i anachroniczną, jak na stosunki współczesne, postać Fełasa.

Czyta Henryk Majcherek.

S. POLKIS

F E Ł A S

czeka się
na wyrobienie

M-9
25 VI 69

RA-0

Korzenie już przebiły ziemię, skręciły się na osłonecznionej płaszczyźnie przylegającej do pnia drzewa. Przyroda zmartwychwstaje z podziemi. Sokami życia darzy powietrze, błękit. W tym czasie z swojego barłogu schodzi Fełas, biały prawie w wielkiej - oszraniającej czoko, czuprynie. Wielki jest. Największy na wieś cała był już od samego zarania, od tej chwili, gdy znaleźli go pod kościołem i z braku matki prawowitej, która by mlekiem mogła go nakarmić, napoić - za poradą księdza, oddano go w ręce zgrzybiałej Zuzuli.

Wielki był już wtedy. W worek opatulony. Bez przyodziewku żadnego, lnianego - przynależnego dzieciom ledwo narodzonym. Gdyby nie ta wielkość i znamię czerwone w kształcie koziej nogi, racie - raczej, niczym szczególnym nie wyróżniałby się.

Teraz go pamiętam z tego wieku zgrzybiałego już, z tej niepotrzebności, która się do człowieka wtedy przyczepia gdy już świat przed oczyma zamglony, gdy zdobywa się wiedzę o tym, iż wiele jeszcze do nauczenia się. Ale nauka najmniej potrzebna jest Fełasowi i dlatego prawie że bezużyteczny po wsi całej chodzi.

Do miasta czasem też trafia.

Jest kolęda. Chodzenie od domu do domu po proszonym prawie, bo głos jego prześwistujący przez zęby zczerniałe, niezdolny już jest do tego, żeby powtórzyć to, co kobiety starsze nawet od niego, w kościele w onym czasie śpiewają. Więc to prawie proszone. Zapewne.

Idzie od Betlejem, przez zamek zapadły na którym królewianka żyła. Przez lasy chruściane zastygające pod bielą śniegu, żeby dotrzeć w strony gdzie go nie znają. Szopkę niesie z sobą i te piosenki swoje, albo pastoraki. Nikt nie wie nawet czy to kolędy są, czy inne śpiewanie, bo nic z tego odczytać nie można.

Idzie Fełas przez las prokowski, po tym swoim rannym wstaniu u starego Wikta, gdzie gościnę posiada jego ciało. Tylko swoją wielkość zewnętrzną, to wielkie nagromadzenie kościstego ciała powierza temu miejscu, które przypisał mu w wielkiej swojej żaskawości Wikt. Przywłóknął w ten kąt, koło zwierzątek bożych, worek napchany siewką i śpi na nim. Czasem tylko, po odpuszcie w Sianowie, przynosi coś lepszego na to swoje spanie. Worek słomy, ale to szybko niszczy się, albo szczury podrobiją lub myszy szukające ziarna. Idzie Fełas do tego Sianowa raz w rok, mimo że daleko tam

Brzęczący jest wtedy groszem, który w jakiejś dziurze chowa, bo nigdy go u niego nie zobaczysz, czy po kolędzie, czy po jakimś innym święcie.

Na tym odpuszcie opowiada Fełas bajki gburom, tym chłopom w butach skórzanych - oficerkach. Każdy gbur tutaj swoją bryczką przyjechał, czarną - przez starego majstra Kuchtę w Nowej Wsi zrobioną. Opowiada Fełas, żeby zarobić trochę z tych koszy, które z sobą przywieźli. Do każdej bryczki dwa konie kare zaprzężone, które u Piekarki mają obrok na ten czas postoju. W bryczce kosz z gęsiną i inną tłustą strawą, żeby gbur mógł przez tych parę godzin gdy jest tu, sił nie stracić. Więc na to czeka Fełas i na wyjście tych ludzi z kościoła. Ale to wszystko w lecie, gdy już żniwa minęły i bogate jest na tym świecie i wesoło.

Najlepiej także wtedy Fełasowi. Bogaty.

Teraz zima przyszła. Zające gubią swój trop. Fełas szopkę trzyma na sznurze i z wielką nadzieją do miasta idzie. Ciekawa to była sprawa z jego szopką i sznurem.

Jednego dnia w tym swoim błąkaniu się koło lasów prokowskich, pod Mirachowo idących, zobaczył cień nadzwyczajny od słońca idący.

471

Smyrknęło więc coś koło niego i takim zimnem się oblał, że pot - który u człowieka zdrowego jest zawsze po ciężkiej pracy, teraz na niego wystąpił. I zobaczył Fezas, co widzieć miał i mimo swojego doświadczenia, do wsi z krzykiem przybiegł. I musiał wtedy dopiero proboszcz kropidło wziąć, skropić po trzykroć ciało jego, żeby zła mogło go odstąpić.

Chłopi przynieśli dnia tego jeszcze, świadectwo prawdy słów Fezasowych. Na sznurze obwiesił się Gruńta Tona, który rankiem na jarmarku krowę sprzedał. I litkup pił, razem z kupcem. Tam go po raz ostatni widzieli, przy tej wódce gdańskiej jednym uderzeniem w blat stołu odbitej i po tym wypiciu tej wódki jeszcze Kuńde straszył, że jak do Gdańska pójdzie to Kresztofowi tył będzie musiał całować. Taki tam obyczaj w tym mieście, czym wesokość u starszych gburów - przysłuchujących się, wzbudził a strach u Kuńdy. Któremu się dopiero wtedy gęba odmieniła, gdy Tona butlę po wódce rozbił i dno pozostałe w zębach rozgryzł i zjadł. Napił się wódki damskiej i ostro pojadł Tona. Nikt tej sztuki nie potrafi, tylko Gruńta jeden, co przyniósł ją ze sobą z wojska, gdy w husarii cesarskiej służył. Tego Gruńtę chłopi tegoż dnia przynieśli na deszach złożonych, żeby ciężar jego ciała mogły strzymać.

Prawda więc była w słowach Fełasa.

Postanowili wszyscy, żeby sznur, na którym Gruńta się obwiesił Fełas sobie zabrał. Aby już złe nie miało do niego przystępu, bo atki był zwyczaj, iż od umarłego na przyszłość losów lepszą kawałek szmatki białej się brało z tego prześcieradła, na którym był złożony. Od powieszonoego sznur między najbliższych się dzieliło, aby nieszczęście nie miało do nich dostępu. Jaszczco jeden był zwyczaj - dzielenia przepaski, którą kobieta pepowinę po położu przewiązywała, ale to był zwyczaj na największe szczęście i trudno było rzecz taką dostać.

Miał Fełas sznur, który przydatny był i niezastąpiony przy jego nocnych powrotach z Kartuz, gdzie po szopce wracał. Z przodu, na sznurze tym, dźwigał stajenkę zmyślnie z lipowego drewna wystruganą, a z tyłu worek rzeczy różnych, które mu dobrzy ludzie dali.

Powiadam więc, że dnia jednego Fełas o mażo co właścicielem pieniędzy by został, które nie darowane, ale za sprzedaż szopki miał otrzymać. Rzecz nie do zwierzenia. Chociaż prawdą jest, że nikt takiej szopki jak on - nie miał, ani Teskniączka ze Smętowa, ani Bubi z Grzybna. A inni się nie liczyli.

Jednego tedy dnia do Betlejem wóz przyjechał czarny, "Consul" się nazywał. Pamiątek szukali i o mało co by szopkę Fełasa wzięli, tylko bez sznura. Parę sebek uczciwie zarobionych dawali, ale nie z tego. Bez sznura Fełas oddać szopki nie chciał i na tym skończył się interes. Kupcy nie chcieli brać tego sznura na którym Gruńta się obwiesił, o czym im Fełas sam opowiedział. I jeszcze kazał przysiąc, że pozostawia to wszystko jak jest - razem. Na to żadną miarą tamci nie chcieli przystać i po raz drugi nie kupili. I tak już szedł ten targ, to przebijanie złotówkami przy Fełasowym upartym poprzestawaniu na swoim. I we wsi wieść o tym poszła i teraz już każdy wiedział, że Fełas większe pieniądze ma schowane w dziurze jakiejś, albo u proboszcza, skoro za taki pieniądz szopki sprzedać nie chce.

Było, nie było. Idzie teraz Fełas, sam jeden. Korki powiązane sznurem i skórą trzymają się jego nóg, nie opadają. Podbił je wczoraj gwoździami przeciwko ślizganiu się. Sanie wyjeździły ten śnieg. Ugładziły jak lód prawie.

Mija już Prokowskie Chrusty, tylko dwa kilometry jeszcze do przejścia, albo i mniej, jeżeli przez lód przejdzie. Żeby dojść do tego swojego miejsca kołędowania.

Cisza w lesie. Gałęzie pod śniegiem uginają się i tylko trzask słychać pękających na mrozie soków. Drzewa postępują, mówią z Fełasem, nie jest mimo tej samotności sam zupełnie. Razem z nim idzie przyroda, krajobraz - jak mówi.

Pamięta to drzewo spalone, rozżupane piorunem od którego Waleria ma jeden bok ciała spalony i różę na twarzy. Pamięta Fełas, idąc przez las, każdą stegną.

Kroki kłapią po tym zmarzłisku, oddudniają się w korytarzu pomiędzy drzewami. Mija już diabelski kamień naznaczony takim samym znakiem jaki i on posiada na skórze. Czerwony, jak gdyby wypalony. Ale ludzie nic nie mówią. Ochrzczony jest, jak wszyscy inni. Więc co im do tego, widać takie było jego przeznaczenie żeby z tym znakiem chodzić, którego i tak zresztą nikt nie widzi.

Już pomiędzy jeziorami widać miasto. Wchodzi do niego powoli. Nie przystaje, jak to jest w zwyczaju innych kołędników, przy kiosku z piwem, tylko idzie na swój rewir. W te ulice gdzie jeszcze nie zdążył być.

Idzie, spiesząc się, żeby ludzie na amen nie pozamykali drzwi. Trzeba zdążyć przed kolacją jeszcze, bo wtedy łatwo im drzwi otworzyć, wyczekując na kogoś. Później trudno się do nich dostać.

Pierwszy dom. Szczurza, prześmiardka klatka schodowa, ale Fezas nie patrzy na to. Prostuje się. Wechodzi po schodach, już wielokroć - poprzednimi laty, przechodzonych. Puka do drzwi. W żłobie leży ktoś pobieży...

Gulgoce mu w tym gardle coś, błyskają czarne pieńki zębów. Dzieci boją się Fezasa. To nie jest kołędnik dla dzieci. Wszyscy wiedzą, że śpiewa sam dla siebie: "Łobie leży... Łudu Łudu podle budu stajenka leży - aniołowie..." - tak śpiewa, ale tego trzeba się dosłuchać w swojej pamięci, a nie w tym śpiewaniu. Tam treści nie ma. Jest tylko zamiar. CHęć wyśpiewania tego, co wyśpiewać trzeba, aby dostać tę swoją zapłatę. Do Wielkiej Nocy, gdy jałowca nazbiera, sprzeda go na jarmarku a sam z pozostałymi witkami pójdzie w drugi dzień świąt po dyngusie. Więc do tego kwietniowego czasu musi mu wystarczyć to dobre dzisiaj zebrane. Wiedzą o tym ludzie i dlatego w tym gulgotaniu, w tym "Łudu, budu, bebejem..." dosłuchują się kołedy, pastoralki albo innej pieśni, żeby mu ze spokojem sumienia dać parę groszy. I prowiantu do worka.